

JOHN

O TYM, JAK
ZDOMINOWALIŚMY
NASZĄ PLANETĘ

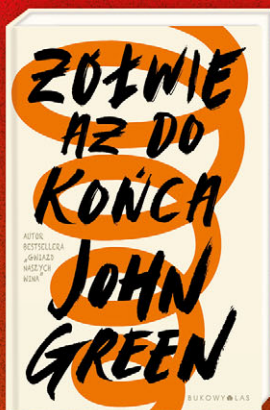
GREEN

ANTROPOCEN

TWÓJ i MÓJ

ŚWIAT

POLECAMY POWIEŚCI JOHNA GREENA



**ANTROPOCEN
TWÓJ i MÓJ
ŚWIAT**

JOHN GREEN

ANTROPOCEN
TWÓJ i MÓJ
ŚWIAT

przełożył
Zbigniew Zawadzki

BUKOWY  LAS

Tytuł oryginału: *The Anthropocene Reviewed. Essays on a Human-Centered Planet*

Copyright © 2021 by John Green

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem do reprodukcji w całości lub we fragmencie w jakiegokolwiek formie.

This edition published by arrangement with Dutton, an imprint of Penguin Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC.

Copyright © for the Polish edition and translation
by Dressler Dublin Sp. z o.o., 2022

ISBN 978-83-8074-389-2

Nr 21000041

PROJEKT OKŁADKI: Grace Han

REDAKCJA: Daria Demidowicz-Domanasiewicz

KOREKTA: Agnieszka Madyńska

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

bukowylas.pl

WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Dressler Dublin Sp. z o.o.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. (+ 48 22) 733 50 31/32

e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl

dressler.com.pl



DRUK I OPRAWA: Abedik S.A.

*Dla moich przyjaciół, współpracowników i towarzyszy podróży
Rosianny Halse Rojas i Stana Mullera*

WSTĘP

Moja powieść *Żółwie aż do końca* ukazała się w październiku 2017 roku. Spędziłem tamten miesiąc w trasie promocyjnej, a kiedy wróciłem do domu w Indianapolis, przyszło mi zająć się przecieraniem szlaku łączącego zainstalowany na drzewie domek naszych dzieci z pokoikiem, w którym zarówno moja żona, jak i ja często pracujemy. Pokoikiem, który – w zależności od światopoglądu – można nazwać albo biurem, albo składzikiem.

Nie chodziło wcale o przecieranie szlaku w sensie metaforycznym. Mówię o oczyszczeniu całkiem rzeczywistej ścieżki biegnącej przez las. Żeby tego dokonać, musiałem usunąć dziesiątki mocno się pleniących inwazyjnych wiciokrzewów, które podduszają znaczną część środkowej Indiany, i wykopać panoszący się bluszcz. Następnie wysypałem powstałą dróżkę ścinkami drzewnymi, a jej krawędzie wyłożyłem ceglami. Pracowałem nad ścieżką po 10–12 godzin na dobę, pięć lub sześć dni w tygodniu przez cały miesiąc. Kiedy wreszcie skończyłem, zmierzyłem czas przejścia od naszego biura do domku na drzewie. Pięćdziesiąt osiem sekund.

Miesiąc zajęło mi więc wytyczenie pięćdziesięcioośmiosekundowej trasy przez lasek.

Jakiś tydzień później, kiedy przeglądałem zawartość jednej z szuflad w poszukiwaniu pomadki ochronnej do ust, nagle i niespodziewanie straciłem równowagę. Świat zaczął krążyć wokół mnie, wirować. Zmienacka stałem się małą łódeczką na pełnym, wzburzonym morzu. Dostałem oczopląsu, zacząłem wymiotować. Odwieziono mnie do szpitala. Przez kolejne tygodnie świat nie przestawał wirować. Stwierdzono, że mam zapalenie błędnika, chorobę ucha wewnętrznego, która mimo niezwykle dźwięcznej łacińskiej nazwy – *labyrinthitis* – jest zdecydowanie nędznym doświadczeniem.

Rekonwalescencja po zapaleniu błędnika oznaczała tygodnie spędzone w łóżku, bez możliwości czytania, oglądania telewizji czy bawienia się z dziećmi. Byłem pozostawiony sam na sam z myślami – czasami sennie wałęsającymi się po niebie, czasami wprawiającymi mnie w przerażenie swoim natręctwem i natarczywością. W trakcie tych długich dni spędzanych w bezruchu mój umysł nieustannie wędrował, błędząc po przeszłości.

Pisarkę Allegre Goodman zapytano kiedyś: „Kogo byś wybrała na autora historii swojego życia?”. Odpowiedziała: „Wydaje mi się, że sama ją piszę. Ale ponieważ jestem powieściopisarką, ta historia jest zakodowana”. Od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że niektórzy ludzie wierzą w swoją znajomość pisarskiego kodu. Chętnie na przykład zakładają, że ja sam, jako autor, dzielam poglądy postaci występujących w mojej książce. Albo zadają mi pytania, jakbym po prostu był jedną z tych postaci. Pewien znany krytyk zapytał mnie kiedyś, czy i ja – podobnie jak narrator *Żółwi aż do końca* – odczuwam ataki paniki w trakcie pocałunku.

Sam pewnie zachęcałem do zadawania takich pytań, ponieważ wypowiadałem się publicznie o swojej chorobie umy-

słowej*, ale mimo wszystko częste opowiadanie o sobie w kontekście literackiej fikcji zaczęło mnie męczyć i z lekka destabilizować. Odpowiedziałem tamtemu krytykowi, że nie, całowanie nie wzbudza we mnie niepokoju, ale istotnie, zdarza mi się doświadczać ataków paniki, podczas których strach jest bardzo intensywny. Mówiąc to, poczułem pewne oddalenie od samego siebie, tak jakby moja jaźń nie była tak naprawdę mną, ale czymś, co usiłuję sprzedać albo przynajmniej wynająć w zamian za pochlebne recenzje.

Zdrowiejąc po przebytych zapaleniu błędnika, uświadomiłem sobie, że nie chcę już dłużej stosować w swoim pisaniu żadnego kodu.

Przez kilka miesięcy 2000 roku pracowałem jako kapłan stażysta w szpitalu dziecięcym. Zapisalem się na uczelnię duszpasterską i zamierzałem zostać pastorem Kościoła episkopalnego, ale czas spędzony w szpitalu pokrzyżował te plany. Nie mogłem poradzić sobie z tragediami, które tam widziałem. Nadal nie mogę. Zamiast więc kształcić się na duszpasterza, przeprowadziłem się do Chicago i zatrudniłem w agencji pracowników tymczasowych jako osoba do przepisywania tekstów. Trafiłem stamtąd do redakcji czasopisma „Booklist” – dwutygodnika krytyczno-literackiego – gdzie moja praca polegała na wprowadzaniu danych do komputera.

Kilka miesięcy później dostałem pierwszą szansę, żeby samodzielnie zrecenzować książkę. Jedna z redaktorek spytała mnie, czy lubię romanse. Odpowiedziałem, że je uwielbiam, a wtedy ona wręczyła mi egzemplarz powieści, której akcja rozgrywała się w siedemnastowiecznym Londynie. Przez następne

* John Green cierpi na zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne (przytł. tłum.).

pięć lat recenzowałem dla „Booklist” kilkaset tytułów – od książek obrazkowych ukazujących życie Buddy po zbiory wierszy. Kiedy wykonywałem tę pracę, zafascynował mnie obowiązujący w „Booklist” format recenzji. Opisy były ograniczone do 175 słów, co oznaczało, że każdemu zdaniu przypadały wielorakie funkcje. Recenzja musiała książkę przedstawić i jednocześnie ją zanalizować. Komplementy trzeba było zmieścić tuż obok zastrzeżeń.

W „Booklist” nie stosuje się ocen w pięciogwiazdkowej skali. Czemu by one miały służyć? W 175 słowach można potencjalnym czytelnikom przekazać znacznie więcej, niż zdoła powiedzieć jakakolwiek ocena liczbowa. Z pięciogwiazdkowej skali zaczęto korzystać w tekstach krytycznych zaledwie kilka dekad temu. Choć recenzenci filmowi używali jej już w latach 50. XX wieku, to hotele ocenia się w ten sposób od 1979 roku, a książki dopiero od chwili, gdy Amazon zaczął publikować opinie czytelników.

Skala pięciogwiazdkowa nie jest tak naprawdę przydatna dla ludzi, tylko dla systemów agregowania danych – i dlatego nie znalazła powszechnego zastosowania przed erą internetu. Dla sztucznej inteligencji wyciąganie wniosków dotyczących jakości książki z recenzji zawierającej 175 słów jest trudnym zadaniem, podczas gdy oceny gwiazdkowe są dla niej idealne.

Odczuwam pokusę, żeby posłużyć się zapaleniem błędnika jako metaforą: w moim życiu brakowało równowagi, a więc w drastyczny sposób dotknęła mnie choroba zmysłu równowagi. Spędziłem miesiąc, wytyczając prostą linię leśnej ścieżki, tylko po to, żeby się dowiedzieć, że życie nigdy nie biegnie prostymi drogami, lecz porusza się w gąszczu splątanych, przyprowadzających o zawrót głowy labiryntów. Nawet teraz tworzę

strukturę tego wstępu właśnie na kształt labiryntu, w którym wracam do miejsc wcześniej już pozostawionych za sobą.

Ale czynienie z własnej choroby tego typu symbolu jest właśnie tym, czemu starałem się przeciwstawić w powieściach *Żółwie aż do końca* i *Gwiazd naszych wina*: przynajmniej zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne oraz nowotwory próbowałem tam przedstawić nie jako bitwy, które należy wygrać, nie jako symboliczne przejawy naszych wad charakteru ani cokolwiek innego, tylko jako schorzenia, z którymi trzeba próbować żyć najlepiej, jak się da. Nie zachorowałem na zapalenie błędnika dlatego, że wszechświat chciał mi udzielić lekcji na temat równowagi. Próbowałem więc żyć z tą chorobą najlepiej, jak się dało. Po sześciu tygodniach mój stan zasadniczo się poprawił, ale jeszcze dziś zdarzają mi się gwałtowne zawroty głowy, które mnie przerażają. Teraz wiem już instynktownie – inaczej, niż to było dawniej – że świadomość jest zjawiskiem przejściowym i kruchym. Można powiedzieć, i to wcale nie w sensie metaforycznym, że życie ludzkie jest próbą godzenia sprzecznych interesów.

W miarę jak zdrowiałem, zacząłem się zastanawiać, co zrobić z resztą życia. Wróciłem do zwyczaju nagrywania z bratem czwartkowych wideoklipów i cotygodniowych podcastów, ale nadal nie pisałem. Od czasu, kiedy ukończyłem 14 lat, tamta jesień i zima były najdłuższym okresem, w którym nawet nie spróbowałem napisać czegokolwiek dla czytelników. I chyba brakowało mi pisania – w taki sposób, w jaki brakuje nam koś, kogo dawniej kochaliśmy.

Porzuciłem redakcję „Booklist” i Chicago w 2005 roku, ponieważ moja żona Sarah zapisała się na uczelnię w Nowym Jorku. Kiedy ją ukończyła, przenieśliśmy się do Indianapolis,

gdzie Sarah zaczęła pracę dla miejskiego muzeum sztuki jako kuratorka galerii współczesnej. Od tego czasu niezmiennie tu mieszkamy.

Pracując w „Booklist”, czytałem tak dużo, że nie pamiętam już, kiedy po raz pierwszy natknąłem się na słowo „antropocen”, ale musiało to być około 2002 roku. Jest to określenie zaproponowane jako nazwa obecnej epoki geologicznej, w której ludzie wywierają znaczny wpływ na naszą planetę i jej bioróżnorodność. Nie ma chyba niczego bardziej ludzkiego niż wyolbrzymianie znaczenia ludzi, ale w XXI wieku jesteśmy istotnie niezwykle potężną siłą działającą na Ziemi.

Mój brat Hank, który rozpoczął życie zawodowe jako biochemik, tak mi to kiedyś tłumaczył: „Dla każdego z nas osobście największym problemem są inni ludzie. Jesteśmy wrażliwi na innych, zależy od nich. A wyobraź sobie, że jesteś dwudziestopierwszowieczną rzeką albo pustynią, albo niedźwiedziem polarnym. Twoim największym problemem nadal pozostają ludzie. Także i w tym przypadku jesteś na nich wrażliwy i zależy od nich”.

Hank towarzyszył mi w podróży promocyjnej jesienią 2017 roku. Żeby zabić czas w trakcie długiej jazdy samochodem od miasta do miasta, zabawialiśmy się w wyszukiwanie najbardziej absurdalnych ocen formułowanych przez użytkowników Google’a na temat miejsc, które mijaliśmy. Na przykład użytkownik o imieniu Lucas dał Parkowi Narodowemu Badlands* jedną gwiazdkę. „Za mało gór” – poskarżył się.

W latach, kiedy przestałem już być recenzentem książkowym, zapanowała powszechna moda na recenzje i wszystko mogło stać się przedmiotem oceny. Skalę pięciogwiazdkową

* Park w Dakocie Południowej obejmujący m.in. największy w USA obszar trawiastej prerii oraz ukształtowane przez erozję twory skalne (przyp. tłum.).

zaczęto stosować nie tylko do książek i filmów, lecz także do toalet publicznych czy fotografów ślubnych. Lek, który zażywam w związku z zaburzeniem obsesyjno-kompulsyjnym, ma ponad 1100 ocen na stronie Drugs.com, a jego wypadkowy wynik to 3,8. Pewna scena w filmowej adaptacji mojej książki *Gwiazd naszych wina* została nakręcona na ławce w Amsterdamie; ławka doczekała się już setek recenzji w Google'u. (Moja ulubiona – trzygwiazdkowa – brzmi: „Jest to ławka”).

Kiedy tak dziwowaliśmy się z Hankiem, jak wszechobecny stał się nagle zwyczaj recenzowania wszystkiego w pięcigwiazdkowej skali, powiedziałem mu, że kilka lat wcześniej miałem pomysł, żeby napisać recenzję bernikli kanadyjskiej*.

Hank zastanowił się i powiedział: „Antropocen... ZRE-CENZOWANY”.

W istocie już wcześniej, bo w 2014 roku, napisałem kilka recenzji – między innymi tę o berniklach kanadyjskich i o dietetycznej wersji napoju dr pepper. Na początku 2018 roku wysłałem te teksty Sarah i spytałem, co o nich sądzi.

Kiedy pisałem recenzje książkowe, starałem się, żeby nigdy nie było w nich „mojej osoby”. Wyobrażałem sobie, że jestem bezstronnym obserwatorem piszącym z zewnątrz. Te wczesne teksty, których tematem był dietetyczny dr pepper czy bernikla kanadyjska, tworzone były właśnie w ten sposób, z zastosowaniem trzecioosobowego, wszystkowiedzącego narratora, tyle że w tekście należącym do literatury faktu. Kiedy Sarah je przeczytała, stwierdziła, że w antropocenie nie występują niezaangażowani obserwatorzy – istnieją tylko uczestnicy. Wy tłumaczyła mi, że kiedy ludzie piszą recenzje, tworzą tak naprawdę pewien rodzaj pamiętnika: oto, czego doświadczyłem, jedząc w tej restauracji albo strzygąc się u tego fryzjera. Ja zaś

* Po polsku ten ptak z podrodziny gęsi jest czasem nazywany potocznie, choć niezbyt prawidłowo, gęsią kanadyjską (przyp. tłum.).

napisałem 1500 słów na temat dietetycznego dra peppera, nie wspominając ani razu o swojej niezmiennej, osobistej miłości do tego napoju.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczynałem odzyskiwać zmysł równowagi, przeczytałem ponownie pracę mojej przyjaciółki i mentorki Amy Krouse Rosenthal, zmarłej kilka miesięcy wcześniej. Napisała kiedyś: „Do wszystkich, którzy próbują się rozeznąć, co robić z własnym życiem: ZWRACAJCIE UWAGĘ NA TO, NA CO ZWRACACIE UWAGĘ. To właściwie jedyna wskazówka, jakiej potrzebujecie”. Moja uwaga stała się tak pokieroszowana, a mój świat zrobił się tak hałaśliwy, że przestałem zwracać uwagę na to, na co zwracam uwagę. Ale kiedy za radą Sarah spróbowałem włożyć w tworzone recenzje więcej siebie samego, po raz pierwszy od lat poczułem, że przynajmniej staram się w ten sposób zwracać uwagę na to, na co zwracam uwagę.

Ta książka zaistniała najpierw jako podcast. Próbowałem w nim kreślić obraz różnych sprzeczności ludzkiego życia, których sam doświadczałem: jak to możliwe, że potrafimy być tak współczujący i zarazem tak okrutni, tak wytrwali i tak podatni na zniechęcenie. Przede wszystkim chciałem pojąć sprzeczności ludzkiej potęgi: jest ona jednocześnie zbyt wielka i niedostatecznie wielka. Jesteśmy wystarczająco potężni, żeby radykalnie wpłynąć na klimat i bioróżnorodność Ziemi, ale brakuje nam mocy, aby zdecydować, ja k i ma być ten wpływ. Potrafimy wy dostać się z ziemskiej atmosfery. Ale nie potrafimy uchronić przed cierpieniem tych, których kochamy.

Chciałem też opisać pewne miejsca, w których moje prywatne życie łączy się z wielkimi siłami antropocenu. Na początku 2020 roku, po dwóch latach od chwili, kiedy zacząłem pisać

podcast, objawiła się siła szczególnie potężna w postaci nieznanego wcześniej koronawirusa. Zacząłem wtedy skupiać się na tej jedynej sprawie, o której byłem w stanie pisać. Pośród panującego kryzysu – a pisząc te słowa w kwietniu 2021 roku, jestem wciąż w jego gąszczu – widzę wiele powodów do lęku i żalu. Ale widzę też ludzi współpracujących ze sobą, dzielących się z innymi wiedzą, którą wspólnie zdobyliśmy, widzę ludzi współdziałających, by nieść pomoc i opiekę chorym i słabym. Nawet kiedy jesteśmy od siebie oddzieleni, pozostajemy ze sobą związani. Tak jak powiedziała Sarah: nie ma obserwatorów, są wyłącznie uczestnicy.

Pod koniec życia wybitny autor i ilustrator Maurice Sendak powiedział w programie *Fresh Air* („Świeże powietrze”) na antenie stacji NPR: „Często płaczę, bo brakuje mi ludzi. Często płaczę, bo ludzie umierają, a ja nie potrafię temu zapobiec. Oni ode mnie odchodzą, a ja tym bardziej ich kocham”.

Dodał jeszcze: „W miarę jak się starzeję, odkrywam, że kocham świat”.

Przez całe swoje dotychczasowe życie zakochałem się w świecie, ale zacząłem tę miłość odczuwać dopiero parę lat temu. Zakochać się w świecie to nie znaczy zignorować czy przeoczyć cierpienia ludzi i innych istot. Dla mnie przynajmniej zakochać się w świecie to wpatrywać się w nocne niebo i poczuć, jak umysł płynie pośród piękna i oddalenia gwiazd. To przytulić płaczące dzieci albo przyglądać się rozwijającym się w czerwcu liściom platanowca. Ilekroć zaczynam odczuwać klucie w mostku i ucisk w gardle, a do oczu napływają mi łzy, mam ochotę odwrócić się od uczuć. Pragnę w takich chwilach odwołać się do ironii albo czegokolwiek innego, co pozwoliłoby mi uciec od żywych emocji. Wszyscy przecież dobrze wiemy,

jak kończy się zakochanie. Ale mimo wszystko pragnę zakochać się w świecie, chcę, żeby ta miłość mnie otworzyła. Dopóki tu jestem, chcę odczuwać najwięcej, jak się da.

Sendak zakończył tamtą rozmowę słowami, które okazały się jego ostatnią publiczną wypowiedzią: „Przeżyj swoje życie. Przeżyj swoje życie. Przeżyj swoje życie”.

Oto moja własna próba, by tego dokonać.

NIGDY NIE BĘDZIESZ SZEDŁ SAM

Jest maj 2020 roku, a mój mózg się do tego nie nadaje.

Coraz częściej stwierdzam, że mówię o „tym”, nie używając nazw i nie odczuwając potrzeby ich stosowania. Wszyscy bowiem współuczestniczymy w tak wszechogarniającym ludzkim doświadczeniu, że odnoszące się do niego zaimki nie wymagają wymieniania poprzedzających je rzeczowników. Przerażenie i cierpienie obecne są wszędzie. Chciałbym, żeby moje pisanie pozwalało na oddech. A jednak przerażenie i cierpienie wsączają się także i w moje słowa, tak jak światło przeciska się przez okienne żaluzje, jak woda znajduje sobie drogę mimo zamkniętych drzwi.

Przypuszczam, że czytacie te słowa w przyszłości. Być może na tyle odległej od mojej teraźniejszości, że „to” już minęło. Wiem, że nigdy nie minie bez reszty: następna normalność będzie się różnić od poprzedniej. Ale jakaś następna normalność nadejdzie – i mam nadzieję, że właśnie w niej żyćcie, a ja żyję w niej razem z Wami.

Na razie muszę trwać w „tym” i znajdować pocieszenie, gdzie się da. A w ostatnich czasach pocieszeniem są dla mnie przeboje z musicali.

W 1909 roku węgierski pisarz Ferenc Molnár wystawił w Budapeszcie swą nową sztukę *Liliom*. Tytułowy bohater – trochę zaburzony i chwilami agresywny młody naganiacz, zachęcający ludzi do przejażdżek na karuzeli – zakochuje się w kobiecie o imieniu Julie. Kiedy dziewczyna zachodzi w ciążę, Liliom planuje rabunek, by zdobyć środki na utrzymanie mającej się powiększyć rodziny. Napad okazuje się jednak katastrofą i Liliom traci życie. Trafia na 16 lat do czyścica, po czym uzyskuje pozwolenie na jednodniowe odwiedziny u nastoletniej już córki Louise.

Dramat *Liliom* okazał się w Budapeszcie kompletną klapą, ale Molnár nie należał do autorów cierpiących na brak pewności siebie. Wciąż wystawiał swoje dzieło w różnych krajach Europy, a potem także i w USA, gdzie w 1921 roku przełożona na angielski sztuka otrzymała dobre recenzje i odniosła umiarkowany sukces kasowy.

Kompozytor Giacomo Puccini chciał dokonać operowej adaptacji tekstu Molnára, ale pisarz odmówił sprzedania mu praw, bo chciał, „żeby «Liliom» został zapamiętany jako sztuka Molnára, a nie jako opera Pucciniego”. Zamiast Pucciniemu sprzedał prawa Richardowi Rodgersowi i Oscarowi Hammersteinowi, duetowi autorskiemu tworzącemu widowiska muzyczne, świeżo po sukcesie musicalu *Oklahoma!*. W ten sposób Molnár sprawił, że *Liliom* został zapamiętany właściwie wyłącznie jako zatytułowany *Karuzela* musical spółki Rodgers i Hammerstein; jego premiera odbyła się w 1945 roku.

W musicalu dwukrotnie śpiewana jest piosenka Rodgersa i Hammersteina *Nigdy nie będziesz szła sama*: za pierwszym razem ma ona podtrzymać na duchu świeżo owdowiałą Julie; za drugim – po latach śpiewają ją Louise koledzy z klasy w trak-

cie uroczystości zakończenia szkoły. Louise początkowo nie chce przyłączyć się do chóru – jest na to zbyt przybita – ale choć ojciec pozostaje dla niej niewidoczny, czuje jego obecność i wsparcie i w końcu też zaczyna śpiewać.

Słowa piosenki* odwołują się do najbardziej oczywistych obrazów. Mówią, że powinniśmy „iść przez wiatr i przez deszcz”, co jest niezbyt precyzyjnym odniesieniem do burzy. Słyszymy też, że trzeba „iść z nadzieją w sercu”, co z kolei wydaje się nachalnym banałem. Dowiadujemy się, że „po burzy przychodzi złociste niebo i słodka, dźwięczna pieśń skowronka”. W rzeczywistości zaś po burzy wszędzie leżą połamane gałęzie, zwisają zerwane przewody elektryczne i szaleją wezbrane rzeki.

A jednak na mnie słowa tej piosenki działają. Może chodzi o powtarzającą się frazę „Idź przed siebie”. Wierzę w takie oto dwa fundamentalne fakty związane z kondycją ludzką: 1. musimy wciąż iść naprzód; 2. nikt z nas nigdy nie idzie sam. Możemy czuć się osamotnieni (w istocie często będziemy się czuć osamotnieni), ale nawet w miażdżących żarnach odosobnienia nie jesteśmy sami. Tak jak w przypadku Louise podczas uroczystości zakończenia szkoły: nawet ci, którzy są daleko – albo wręcz nas zostawili – wciąż są z nami i zachęcają nas, byśmy nadal szli przed siebie.

Tę piosenkę śpiewali wszyscy: od Franka Sinatry przez Johnny’ego Casha po Arethę Franklin. Ale najśłynniejsze stało się wykonanie zespołu Gerry and the Pacemakers z 1963 roku. Podobnie jak Beatlesi, także i ten zespół pochodził z Liverpoolu, jego menedżerem również był Brian Epstein, producentem zaś i aranżerem nagrań – George Martin. Stosownie

* Której angielski tytuł można tłumaczyć zarówno jako „Nigdy nie będziesz szła sama”, jak i „Nigdy nie będziesz szedł sam” (przyp. tłum.).

do swojej nazwy* Pacemakersi zmodyfikowali rytm piosenki, zwiększając jej tempo i dodając nieco bigla do utworu utrzymanego pierwotnie w duchu lamentu; ich wykonanie wspięło się na szczyty brytyjskich list przebojów.

Niemal natychmiast kibice klubu piłkarskiego FC Liverpool zaczęli śpiewać tę piosenkę wspólnie podczas meczów swojej drużyny. Tamtego lata legendarny menedżer liverpoolskich piłkarzy powiedział Gerry'emu Marsdenowi, głównemu wokaliście Pacemakersów: „Gerry, synu, ja ci dałem drużynę piłkarską, a ty nam dałeś pieśń”.

Dzisiaj tytuł *Nigdy nie będziesz szedł sam* jest wyryty w kutym żelazie i zawieszony nad bramą liverpoolskiego stadionu Anfield. Słynny duński obrońca Daniel Agger ma wytatuowane na kłykciach prawej ręki litery YNWA** . Od dziesięcioleci jestem kibicem Liverpoolu*** i ta piosenka jest dla mnie tak silnie związana z klubem, że ilekroć słyszę jej pierwsze dźwięki, stają mi w pamięci wszystkie okazje, przy których śpiewałem ją wraz z innymi kibicami – czasem w uniesieniu, czasem w rozpacz.

Kiedy zmarł Bill Shankly****, w 1981 roku, Gerry Marsden zaśpiewał *Nigdy nie będziesz szedł sam* w trakcie ceremonii pogrzebowej; piosenka była zresztą wykonywana podczas wielu pogrzebów fanów Liverpoolu. Dla mnie cudowną wręcz cechą

* Ang. *pacemaker* – osoba, która nadaje tempo, np. w biegach długodystansowych (przyp. tłum.).

** Od angielskiego tytułu piosenki *You'll Never Walk Alone* (przyp. tłum.).

*** Dlaczego? Kiedy miałem 12 lat, grałem w szkolnej drużynie piłkarskiej. Oczywiście byłem beznadziejny i rzadko wychodziłem na boisko. Mieliśmy w drużynie jednego dobrego zawodnika o imieniu James. Chłopak pochodził z Anglii i mówił nam, że w jego kraju istnieją zawodowe zespoły piłkarzy, a na ich meczach tysiące kibiców stoi obok siebie, ramię przy ramieniu, i śpiewa piłkarskie pieśni. Zapewniał nas, że najlepszym angielskim klubem jest Liverpool. Uwierzyłem mu (przyp. aut.).

**** Bill Shankly (1913–1981) – szkocki trener piłkarski (przyp. tłum.).

tego utworu jest to, że tak dobrze funkcjonuje zarówno przy okazji pogrzebów, jak i uroczystości zakończenia szkoły, a także jako triumfalna pieśń w duchu właśnie -pokonałiśmy -Barcelonę-w-Lidze-Mistrzów! Jak powiedział kiedyś były zawodnik i menedżer Liverpoolu Kenny Dalglish: „Mieści się w niej niepowodzenie i smutek, mieści się też sukces”. Jest to piosenka o trzymaniu się razem – nawet kiedy twoje marzenia zostają wywrócone i zniweczone. Jest to piosenka zarówno o burzy, jak i o złocistym niebie.

Na pierwszy rzut oka może wydawać się dziwne, że najpopularniejsza na świecie piosenka piłkarska wywodzi się z teatru muzycznego. Ale przecież futbol jest teatrem, a kibice robią z niego teatr muzyczny. Hymn West Ham United nosi tytuł *Zawsze będę puszczał bańki*. Na początku każdego meczu można zobaczyć tysiące dorosłych ludzi puszcających na trybunach mydlane bańki i śpiewających słowa: „Zawsze będę puszczał bańki, piękne bańki płynące w powietrzu / Lecą tak wysoko, prawie do samego nieba / A potem, tak jak moje marzenia, pękają i znikają”. Z kolei kibice Manchesteru United przerobili *Hymn bojowy Republiki* Julii Ward Howe z czasów amerykańskiej wojny domowej i śpiewają na meczach: „Glory, Glory Manchester United”*. Kibice Manchesteru City śpiewają zaś *Blue Moon*, przebój Rodgersa i Harta z 1934 roku.

Wszystkie te piosenki zostały rozślawione przez śpiewające je społeczności. Są one potwierdzeniem jedności w smutku i w radosnym triumfie: niezależnie od tego, czy bańka wlatuje w górę, czy pęka, śpiewamy razem.

Tekst *Nigdy nie będziesz szedł sam* jest kiczowaty, ale nie jest niesłuszny. Piosenka nie twierdzi, że świat jest miejscem sprawiedliwym czy szczęśliwym. Po prostu wzywa nas do ciągłego

* Zamiast „Glory! Glory! Hallelujah!” jak w oryginale *Hymnu* (przyp. tłum.).

marszu naprzód – z nadzieją w sercach. I nawet jeśli zaczynając śpiew, nie wierzysz – podobnie jak Louise w końcowych fragmentach *Karuzeli* – w złociste niebo czy w dźwięczne trele skowronka, wierzysz w nie odrobinę bardziej, kiedy kończysz.

W marcu 2020 roku internet obieżyło nagranie, w którym grupa brytyjskich sanitariuszy śpiewała *Nigdy nie będziesz szedł sam* swoim współpracownikom znajdującym się za szybą na oddziale intensywnej terapii. Sanitariuszki chcieli w ten sposób umocnić swych kolegów. Cóż to za wspaniałe słowo: u-mocnić. Choć nasze marzenia pękają i znikają, wciąż śpiewamy sobie samym i innym, wzajemnie przekazując sobie moc.

Nigdy nie będziesz szedł sam ma u mnie cztery i pół gwiazdki.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

FOT. MARINA WATERS



JOHN GREEN

jest autorem bestsellerów młodzieżowych, w tym: *Szukając Alaski*, *Gwiazd naszych wina*, *Żółwie aż do końca*. Jego książki były wielokrotnie nagradzane, m.in. Michael L. Printz Award i Edgar Award. Dwukrotny finalista „LA Times” Book Prize, znalazł się w gronie 100 najbardziej wpływowych ludzi na świecie według „Time’a”. Ma własny podcast *The Anthropocene Reviewed*. Wraz z bratem Hankiem prowadzi na YouTube popularny video-blog *Vlogbrothers* oraz kanał edukacyjny *Crash Course*. Mieszka z rodziną w Indianapolis.

To, co Green tak naprawdę przekazuje nam w tych zaskakujących opowieściach, to fakt, że na świecie jest mnóstwo cudownych rzeczy, a miłość do nich jest zawsze warta wysiłku.

NPR.org

John Green łączy zaciekawienie światem oraz erudycję z osobistymi wyznaniem, empatią i poczuciem humoru. Szuka światła w ciemnym chaosie życia, wykorzystując do tego wyjątkową umiejętność wplatania ironii w poważną tematykę.

BOOKLIST

ŚWIATOWY BESTSELLER

1 MIEJSCE NA LIŚCIE „NEW YORK TIMESA” I „USA TODAY”
NA SZCZycIE LISTY BESTSELLERÓW „WALL STREET JOURNAL”

W ANTROPOCENIE NIE MA BIERNYCH OBSERWATORÓW WSZYSCY JESTEŚMY UCZESTNIKAMI

Antropocen to epoka, w której obecnie żyjemy i wieramy przeogromny wpływ na naszą planetę. Nowa książka Johna Greena jest zbiorem fascynujących esejów pochodzących z nowatorskiego podcastu autora. Green od dawna analizuje różne aspekty życia na Ziemi z człowiekiem w roli głównej – od klawiatury QWERTY i zachodów słońca do bernikli kanadyjskiej i *Pingwinów z Madagaskaru* – przyznając im oceny w pięciogwiazdkowej skali. Te zabawne, wielowymiarowe minirecenzje obrazują sprzeczności, w jakie obfituje nasze życie. Jako gatunek mamy moc zbyt wielką, a zarazem niewystarczającą – ten paradoks stał się wyraźnie widoczny, kiedy zmierzylśmy się z pandemią, która nas rozdzieliła i jednocześnie zbliżyła.

John Green po raz kolejny udowadnia swój mistrzowski talent do opowiadania i porywa miłością do świata.

Nr 21000041

ISBN 978-83-8074-389-2



9 788380 743892

bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



lubimyczytać.pl

Cena 39,90 zł
(w tym VAT)